

Witold Marciszewski

O jednomyślności filozoficznej i atrakcyjności filozofii

Czy filozofia ma zdolność budowania jednomyślności?

W latach Gierka, kiedy tzw. jedność moralno-polityczna narodu była pieczołowicie budowana przy pomocy jedynie słusznej filozofii, miałem możliwość podziwiać jeszcze bardziej entuzjastyczną niż gierkowska ideę jednomyślności. A to dzięki temu, że gościem kierowanego przeze mnie wtedy Zakładu Filozofii był z woli władz pewien docent naukowego ateizmu z Mińska.

Przybył on do nas z poczuciem misji, którą wyrażał jako erudyta jednym zagranicznym, ulubionym przez się słowem UNISONO. Na każdym kroku próbował sprowadzać nas tym słowem na właściwą drogę, mając za złe, że nie jesteśmy unisono. A to Kardynał Wyszyński miesza, a to istnieją w Polsce jacyś filozofowie niemarksistowscy, a to brak jednolitego dla wszystkich wykładowców formularza pytań egzaminacyjnych.

Miałem też wykłady logiki w NRD, gdzie na każdym kroku podziwiałem jednomyślność; szczytową wykazał pewien wykładowca filozofii, który czytał swe teksty z kartki zapisanej maczkiem, bez interlinii, żeby ktoś mu nie wpisał skrycie między liniami poglądu innego niż ten jednolity. Z kolei moi słuchacze udawali nieznaną terminu „Geisteswissenschaften”; jednomyślność obejmowała tam wykreślenie ze słowników filozoficznych słowa „Geist”. Odkryłem przypadkiem, że NRD-owskie żaki jednak je rozumieją, gdy przed kilkoma (wartującymi na portierni hotelu uczelni w UNI-formach „Freie Jugend”) tłumaczyłem się ze swego prawa do pobytu w hotelu; wyjaśniłem, że jesteśmy z żoną „Geiste [zamiast Gäste], die im diesem Hause wohnen”. Śmiech, który ich ogarnął, świadczył, iż nieoficjalnie wiedzą świetnie, co to są „Geiste”.

Niech owe anegdoty zastąpią wywód o tym gatunku jednomyślności filozoficznej, który bierze się z wejścia filozofii w zaprzęg ideologii, forsowanej środkami propagandy i represji. Oczywiście, nie o taki stan chodzi w pytaniu o budowanie jednomyślności. A o jaki? Zapytajmy najpierw nauczycielkę Historię. Uczy ona tej subtelnej prawdy, że w pewnych warunkach nieodzowne minimum stabil-

ności implikuje jakąś dozę przymusu. Także w sferze poglądów. Wśród plemion pierwotnych służą temu obrzędy inicjacji; zdaniem Bronisława Malinowskiego bez narzuconej w ten sposób jednomyslności wierzeń prymitywne plemię ulega rozpadowi. Im mniej oddalona jest społeczność od stanu prymitywnego, tym silniej działa ów przymus jednomyslności. Świadectwem – filozofia średniowieczna; przy ożywczej różnaitości poglądów były one jednak utrzymywane, nie zawsze środkami łagodnymi, w ramach paradygmatu filozofii chrześcijańskiej. Nie chcę przesadzić z ukłonami wobec Hegła, ale chyba była w tym jakaś rozumna konieczność historyczna. Podobnie jak w przypadku ówczesnego feudalizmu: gdy brać rzecz *in abstracto*, jest on najmniej efektywnym ustrojem, ale *in concreto*, w bezmiarze zamętu po upadku cywilizacji rzymskiej, nie było lepszego rozwiązania. Tak i dla jednomyslności chrześcijańskiej w filozofii zapewne nie było wówczas historycznej alternatywy.

Fenomen renesansu zasadza się na przełamaniu owej dyscypliny jednomyslności z niebywałym pożytkiem dla rozwoju myśli. Ewakuacja na zachód kolosalnych zbiorów książkowych z zagrożonego upadkiem Bizancjum wałnie się przyczyniła do przyswojenia bogactwa filozofii antycznej, a w tym atomizmu, który dał impuls jakże płodnemu przez parę wieków mechanicyzmowi. Rzecz jasna, że rozwój wymaga ścierania się przeciwstawnych opcji, a więc różnorodności i niezgody miast jednomyslności – gdy tylko można sobie na to pozwolić w danych warunkach historycznych. Warunki takie nastały w Europie z końcem średniowiecza, a choć przyszło za to ciężko nieraz płacić, *per saldo* okazało się wielce opłacalne.

Po historycznych uzasadnieniach jednomyslności oraz historycznie uzasadnionej pochwalie jej braku, pora na kolejny zwrot dialektyczny – ku zagadnieniu rosnącej jednomyslności na najwyższym intelektualnie poziomie. Wbrew częstym utyskiwaniom, że filozofia jest jałową spekulacją, jest ona dyscypliną o wielkiej mocy dedukcyjnej, tzn. obfitującą w konsekwencje doniosłe i sprawdzalne, zdadne do poddawania ich próbom falsyfikacji. Widać to pięknie na przykładzie tych doktryn, które ulegają falsyfikacji, przez co zwęża się repertuar alternatyw. A każde takie ograniczenie przybliża nas asymptotycznie do merytorycznie pieczętowanej jednomyslności. Nikt dziś nie podtrzymuje obrazu świata atomistów, w którym przypadek swawoli do tego stopnia, że nie ma miejsca na matematyczne prawa przyrody; w tym względzie potwierdzeniem cieszy się raczej platonizm. Mamy też efektowne falsyfikacje pewnych tez Kanta, jak ta, że do opisu przestrzeni służy jedynie geometria euklidesowa, czy ta, że wszystkie prawa wnioskowania ujmuje sylogistyka. A także tezy Hegła, że ewolucji podlega tylko świat ducha, a nie świat organiczny. Inny przykład: w filozofii społecznej szala pojedynku między Marksem i Smithem przechyla się na korzyść Smitha w miarę narastania doświadczeń ekonomicznych.

Tezy takie, choć dotyczą matematyki lub empirii, wynikają z przesłanek filozoficznych; obalenie zaś wniosku implikuje obalenie przesłanki. Nie jest ważne, czy sprawca falsyfikacji ma dyplom doktora filozofii. Ważne, że jego twórczość w taki sposób pośredni oddala pewne opcje filozoficzne, a to jest krok ku jednomyślności. Nie tylko przez eliminację, lecz także przez wzmocnienie opcji pozytywnej. Wyniki bowiem teorii naukowych, jak geometrie nieeuklidesowe, logika matematyczna, teoria ewolucji czy teoria rynku, mają drogowskaz i napęd w intuicjach filozoficznych, nawet gdy autor danej teorii nie jest tego świadom.

Ten obraz dedukcyjnej płodności intuicji filozoficznych, aż po szanse empirycznej sprawdzalności, przynosi jako pointę odpowiedź twierdzącą na pytania inne, istotne. Filozofia była, jest i będzie inspirująca, opiniotwórcza i atrakcyjna dla elit intelektualnych.